I ROK ZESZYT V

MŁODOŚĆ

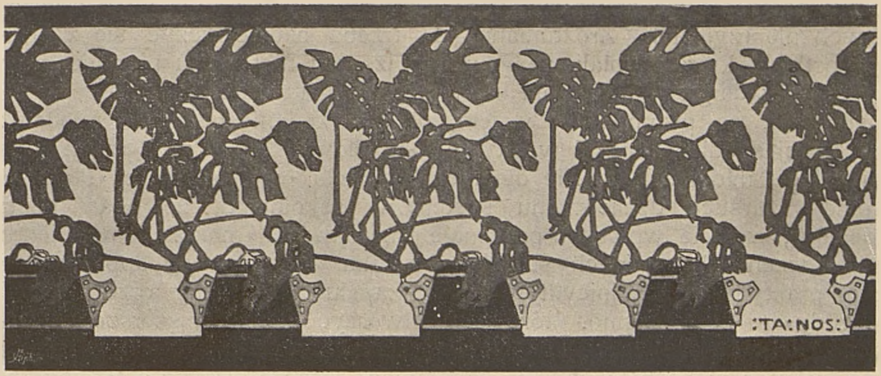
Czasopismo akademickie
Założone w setną rocznicę urodzin
Adama Mickiewicza

KWIECIEŃ 1899

KRAKÓW-LWÓW

Cena zeszytu 35

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.



OD REDAKCYI.

»Nie obawiamy się trudności, z któremi przyjdzie nam walczyć, ale apatyi i sceptycyzmu ogółu, o który w naszem społeczeństwie krwawiły się już tyle razy daleko energiczniejsze i tęższe od naszych dłonie« — pisaliśmy temu pół roku w prospekcie naszego pisma. Dzisiaj, wydając piąty zeszyt »Młodości«, musimy przyznać, że nasze przewidywania się nie urzeczywistniły. Obawialiśmy się tego wrażenia, które ogólnie wywołał prospekt. Młodzież brała go do rąk bez zaciekawienia, przebiegała oczami obojętnie i rzucała, nie przeczytawszy do końca. W prasie odezwały się chłodne ostrzeżenia przed radykalizmem w traktowaniu najnowszych prądów, nurtujących w społeczeństwie i w sztuce. Między wierszami można było wyczytać groźbę, że w razie »nieposłuszeństwa« będzie się nas traktowało bez rękawiczek. W *conclave* profesorów dziwiono się, skąd na serwilistycznym gruncie krakowskiego światka akademickiego, na tym gruncie dziesięcioletniej zgody młodzieży z senatem, t. j. dziesięcioletniego wyzyskiwania bierności i niedołęstwa młodzieży, mogli znaleźć się ludzie, którym nie wystarczało, jak pisze Daszyński, »bardzo, ach jak bardzo wiele obliczeń stopni i pensyi urzędniczych«, ale którzy postanowili założyć pismo akademickie i udowodnić tym, »którzy nas nie chcą czy nie umieją zrozumieć«, że »my myślimy nie mniej głęboko i czujemy nie mniej wrażliwie od nich, że nasze ideały, może nie tesame co ich, są dla nas równie wielkie i święte, jak ich ideały były dla nich«. Zatem na samym wstępie przyjęto nas nieżyczliwie. Ale z ukazaniem się pierwszego

numeru położenie się zmieniło. Zyskaliśmy gorących przyjaciół i jeszcze gorętszych nieprzyjaciół. Zrozumiano, że trzeba będzie liczyć się z brawurą niedorostków, którzy wołali, że »pomimo iż nam nikt głosu nie daje, pomimo perspektywy długiego szarpania się i męczenia, my ten głos bierzemy siłą!« Zrozumiano, że pismo, które wzięło sobie za zadanie »smagać młodzież do krwi za jej spodlenie się« i w artykule »O Słowackim i o nas« rzuca w twarz »obiecującej młodzieży«: »Nie dla nich Słowacki!«; w artykule »Po ankiecie szkolnej« zarzuca dzisiejszemu systemowi szkolnemu, że odarł młodzież z ideałów; w liście lwowskim przyznaje przeciętnemu »młodzieńcowi-filistrowi« »doświadczenie bezzębnych starców i rozum, do rozpaczy doprowadzający rozum praktyczny, bez inicyatywy, bez zapału, bezmyślny rozum zacofania i wygody« — że to pismo, które chce otworzyć młodzieży szersze horyzonty, chociażby kosztem wyrycia piętna serwilizmu na każdem schylonem czole, może się stać niebezpieczne. Nie zapomniano jeszcze historyi ostatniego przed nami pisma akademickiego w Krakowie, w którem kilku »niedorostków« walczyło wściekle przez cały rok w obronie swoich przekonań z senatem, z policyą i z własnemi rodzinami, słowem, w kilku wzięli się za bary z całem społeczeństwem i w kilku porwali za sobą całą młodzież. Nie zapomniano, jakiemi to gwałtami i prześladowaniami, które przecież »nikomu nie są przyjemne«, trzeba było opłacić przywrócenie młodzieży do porządku. Nowemu pismu, w którego pierwszym zeszycie »można było odnaleść zapowiedzi tego, co niestety wnet miało bardzo wybujać«, nie wróżono dłuższego istnienia nad dwa miesiące. Artykuł »O serwiliźmie młodzieży«, umieszczony w następnym numerze, wywołał oburzenie tym razem nietylko u opiekunów młodzieży, którym zarzucono wywieranie presyi na młodzież za jej przekonania, ale i u pewnej części samej młodzieży. Ta młodzież, która nie czuła ani oburzenia ani bólu, kiedy zarzut serwilizmu padł na zgromadzeniu, na które zwrócone były oczy całego społeczeństwa, teraz, kiedy zarzut ten powtórzyło pismo akademickie, zaczęła krzyczeć: »Jeżeli komu wolno, to nie tobie!« Przez pewien czas krążyły pogłoski o bojkocie »Młodości« Aż dopiero po czwartym numerze buchnęła cała orgia nienawiści, orgia złorzeczeń, wymyślań, zarzutów »bezwstydu i cynicznej niewiary«, nawet nawoływań o interwencyę policyi. Chciano przywrócić widocznie świetlane czasy z przed dziesięciu laty, kiedy w restauracyi wojsko atakowało bezbronną młodzież bagnetami. W tej walce z »Młodością« stanęli obok siebie w wzruszającej emulacyi arystokraci z »Jagielonii« i ludowcy z „Czytelni akademickiej«; »Głos Narodu« w objęciach »Czasu«; połączyli się ci, którzy nam zazdrościli powodzenia i ci, których wiersze, znane w redakcyach pism pod nazwą »wędrownych tułaczy«, systematycznie wrzucaliśmy do kosza; ci »starzy«, którym nie na rękę było pobudzanie młodzieży do inicyatywy, i ci »młodzi«, którym wytykaliśmy na każdym kroku brak ideałów i brak charakteru.

Byliśmy na to przygotowani i nie tegośmy się obawiali. Obawialiśmy

się apatyi i obojętności, obawialiśmy się »puszczyków, które wyją z góry hymn pogrzebowy nad każdem naszem nowem usiłowaniem«, nie tego gorączkowego ruchu, który obudziliśmy wśród młodzieży, nie 10.000 »listu otwartego«, enuncyacyi prasy i klasycznej rezolucyi wiecowej. Nadspodziewane zainteresowanie się ogółu »Młodością« świadczy, że jesteśmy czemś, czego nie można lekceważyć. Zyskaliśmy wielu wrogów. Ale nieprzyjaźnią serwilistów, nieprzyjaźnią tych, o których mówi Zarathustra: »Są tacy, którzy siedzą w bagnie i z poza trzciny mówią: »cnota — to znaczy siedzieć spokojnie w bagnie«, nieprzyjaźnią ludzi, którzy pragnęliby zabronić młodzieży myśleć, możemy się szczycić. »Z góry wiemy, że głos nasz mało komu będzie przyjemny. Nam nie wolno nikogo oszczędzać i bawić się w oportunizm, bo stan jest za smutny« — pisaliśmy w pierwszym zeszycie »Młodości«. I dzisiaj możemy być dumni, że rzeczywiście nie oszczędzaliśmy nikogo, że nie uwzględnialiśmy tego, czy tym lub tamtym krokiem możemy sobie kogoś narazić, i że pomimo tego, a być może, że właśnie przez to, zdobyliśmy tylu dzielnych i gorących przyjaciół.

Wspomnieliśmy o »liście otwartym«. Polemizować z tonem i formą tej publicystycznej elukubracyi 29 głów, które na wiecu tak oburzyło przypuszczenie, że »prawdopodobnie już nigdy w życiu nie będą drukowane«, byłoby pastwić się nad niedoszłym samobójcą. W tej pewności, że »listem otwartym« zajmie się »opinia publiczna teraz, a sąd historyi kiedyś«, w podziale całej młodzieży akademickiej na »nas i naszych kolegów« w nawoływaniu »nemezis dziejowej«, aby zemściła się na »Młodości« za »socyalizm, anarchizm i ateizm«, a rozmach, z jakim to zdanie zostało rzucone na papier wskazuje, że autorom z równą łatwością przyszedłby zarzut np. anabaptyzmu, wreszcie w tym wspaniałym zbiorze jakichś zakazanych, ze wszystkich możliwych dziur powyciąganych podpisów — tkwi coś tak kolosalnie humorystycznego, że zapomina się, iż debiut na arenie publicznej tych 29 poczciwych, bezmyślnych chłopaków, z których wielu, jak nam się sami przyznali, podpisało się nie przeczytawszy nietylko ani jednego artykułu »Młodości« i broszury Fuchsa, ale nawet »listu otwartego«, że koniec końców taka lekkomyślność w traktowaniu spraw publicznych jest poprostu publicystycznem korsarstwem. Fakt, że z 29 ludzi, którzy w »liście otwartym« oświadczyli, że zasadniczo »stoją twardo« przy programie broszury Fuchsa, ani jeden na wiecu nie miał odwagi zaprotestować przeciw rezolucyi, która zapatrywania tej broszury potępiała, świadczyłby jeszcze smutniej o ich wartości moralnej, gdybyśmy znowu nie musieli kłaść tego na karb ich bezmyślności. Homeryczny śmiech »opinii publicznej«, który towarzyszył ukazaniu się »listu otwartego«, daje nam zupełną satysfakcyę. Jeżeli pomimo tego wracamy do niego, to tylko ze względu na to, że w nim były streszczone, wprawdzie niedołężnie i bez odpowiedniej argumentacyi, wszystkie zarzuty, z którymi spotkał się IV numer »Młodości«.

Na pierwszym planie stawiamy sprawę trzech pytań w »kwestyona-

ryuszu«. W artykule »Po ankiecie szkolnej« przyrzekliśmy zajmować się »kwestyami najbardziej rozpaczliwemi. Są między niemi takie, o których społeczeństwo nie wie, i takie, o których wiedzieć nie chce«. Do tych ostatnich należy przedewszystkiem sprawa stosunków seksualnych, która nas, jako pismo młodzieży, obchodzi szczególniej o tyle, o ile tyczy się młodzieży. Można ją zredukować do pytania: czy wolno rzeczy nazywać po imieniu, czy nie? Czy — wolno mówić głośno, publicznie o rzeczy, nad którą wszyscy po cichu załamują ręce i którą wszyscy uznają za wielkie społeczne nieszczęście, która w pewnych swoich przejawach upadla mężczyznę i kobietę, niszczy szczęście całego szeregu rodzin, i zapełnia szpitale nędzarzami duchowymi i fizycznymi? Czy — ażeby przez otwarte traktowanie kwestyi oszczędzić chociażby tylko kilkudziesięciu ludziom cierpień, ażeby osiągnąć nie natychmiastowe polepszenie warunków, bo o tem nie ma mowy, ale chociażby tylko »niezbite, statystyczne dane istnienia pewnych niezdrowych stosunków w społeczeństwie, poruszyć umysły tych sfer, których obowiązkiem zajmować się młodzieżą, silniej i intensywniej, niż to uczyniły artykuły gazeciarskie stronnicze i pełne frazesów, i zmusić je do zastanowienia się i do próby poprawy złego, a w nas samych wzbudzić solidarność zrodzoną z wspólności interesów i dążenie do samopomocy« — nie wolno poświęcić nic z purytańskiego, uświęconego tradycyą, przemilczania kwestyi płciowej?

Tak jest, przemilczajmy dalej. Mogą w szkołach demoralizować się dzieci, ażeby wyróść na samobójców wskutek »nieuleczalnej choroby«, może istnieć dalej nierząd jako przez rząd ulegalizowany, ale przez ten sam rząd źle kontrolowany czynnik społeczny, może dalej odwdzięczać się społeczeństwu za pogardę jadem chorób wenerycznych — byleby tylko to społeczeństwo nie potrzebowało publicznie się dowiadywać, że począwszy od teoryi o »bocianach«, a skończywszy na przykazaniach religii, która czasami staje w sprzeczności z najprostszemi zasadami hygieny, wiele już, bardzo wiele rzeczy się zmieniło i wiele starych wartości trzeba zastępować nowemi. Uwaga, którą uzupełniliśmy »kwestyonaryusz«, wskazywała wyraźnie, że ogłoszeniem inkryminowanych trzech pytań nie spodziewamy się osiągnąć radykalnej sanacyi stosunków płciowych młodzieży, ani nie przypisujemy „kwestonaryuszowi« epokowego znaczenia i praw stawania przed »sądem historyi kiedyś«. Zachęceni pomyślnym wynikiem podobnej ankiety wśród młodzieży w Warszawie, skorzystaliśmy ze sposobności, aby w kwestyonaryuszu w sprawie położenia ekonomicznego młodzieży w Galicyi umieścić pytania, które miały rzucić nieco światła na stosunki płciowe młodzieży. Być może, że młodzież galicyjska, jak dwukrotnie z katedry zaznaczył jeden z profesorów, nie dorosła jeszcze do zrozumienia społecznego znaczenia podobnych ankiet. Bez względu jednak na rezultaty naszej ankiety, możemy twierdzić, że ogłoszeniem samego kwestyonaryusza spełniliśmy pewne zadanie. Na gruncie galicyjskim piewsi zerwaliśmy z dotychczasowym sposobem omawiania stosunków płcio-

---

MŁODOŚĆ str. 120.

wych i pierwsi utrzymujemy, że tylko przez jawne, otwarte traktowanie tych stosunków można się doczekać ich polepszenia.

Nad zarzutami »listu otwartego« w sprawie umieszczenia artykułu Daszyńskiego i polemiki z broszurą Fuchsa obszerniej zastanawiać się nie będziemy. Na wiecu zaznaczyliśmy, że przez umieszczenie artykułu Daszyńskiego chcieliśmy i mieliśmy prawo dać poznać młodzieży poglądy o niej jednego z wybitnych polityków galicyjskich. Co do broszury Fuchsa, rezolucya wiecu, która nie większością 12 głosów, ale jednomyślnie potępiła zasady partyi konserwatywno-ugodnej, w tej broszurze wyrażone, i publiczne podziękowanie »Młodości« przez wnioskodawcę tej rezolucyi — za poruszenie tej sprawy — zwalniają nas od odpowiedzi.

Druga rezolucya wiecu, która nie uznawała »Młodości« za pismo akademickie, nie obowiązuje nas zgoła. W pismach ogłosiliśmy, że nagłówka »czasopisma akademickiego« nie zniesiemy, gdyż jako pismo redagowane przez akademików i omawiające sprawy akademickie, tytuł ten mamy prawo nosić.

Tyle w odpowiedzi tym wszystkim, którzy zupełnie bezinteresownie zechcieli przyczynić się do popularności i rozszerzenia »Młodości«.

MŁODZIEŻ A POLITYKA PRAKTYCZNOŚCI.

Fakty były takie: słuchacze uniwersytetu petersburskiego, dotknięci postępowaniem władzy akademickiej i rządu, wezwali wszystkie uniwersytety rosyjskie do solidarnego aktu oporu, który się miał wyrazić w strejku. Za Kijowem, Odessą, Rygą, Dorpatem, Tomskiem, Charkowem, Kazaniem i oświadczyły gotowość w tym względzie wszystkie trzy Warszawskie wyższe zakłady naukowe: uniwersytet, politechnika i instytut weterynarzów. Rezultaty tego kroku dzisiaj już są dostatecznie obrachowane: relegacya kilkuset słuchaczów, oraz oddanie zatargu pod kompetencyę Ministeryum spraw wewnętrznych, czytaj: żandarmeryi i porządku administracyjnego, czyli zidentyfikowanie oporu akademickiego z przystępstwem politycznem, jak wiadomo przystępstem najsurowiej karanem w caracie Rosyjskim.

Tak przedstawiająca się sprawa, przechodzi z kolei rzeczy przez instancyę sądów obyczajowych: dziennikarstwa, wyroków cukiernianych i innych bez prawa apelacyi wydawanych orzeczeń. Prawie wszędzie treść wyroku lako-

niczna: półgłówki. Na całym dystansie »Czas« — »Przegląd Wszechpolski« — jedno i to samo, z malemi waryacyami, zależnymi od napięcia opurtunizmu patryotycznego i politycznego. Po treści wyroku następują motywy. Tu już na jaw wychodzą odmienności indywidualności redakcyjnych; w grubszym zarysie można je jednak podciągnąć pod dwie ważniejsze kategorye: 1) Młodzież Warszawska ze względu na skutki opłakane swojego kroku postąpiła nie politycznie, bo nie praktycznie, — to pierwsza kategorya, zaś druga: potępienie ruchu młodzieży w imię solidaryzowania się z Rosyanami, jako takimi. Z tymi wyrokami zgadza się mniej więcej inteligencya nasza galicyjska, a »czytelnicy jednego organu« naturalnie »podpisują się najzupełniej« na sąd swojego dziennika. Słowem żywe zainteresowanie się ostatnim dramatem Warszawskim wyładowuje się wyłącznie w kierunku potępienia dla młodzieży akademickiej.

Smutne są takie wypadki, jak wywiezienie tych kilkuset biedaków z Warszawy — ale kto wie czy nie nikną w obojętność na myśl, o ile smutniejszym jest jeszcze stan naszej kultury politycznej, tej kultury, którą wykazało i nasze dziennikarstwo i nasza inteligencya na tle omawianych wypadków.

Przy czytaniu korespondencyj warszawskich i komentarzów redakcyjnych uderza przedewszystkiem jeden objaw: społeczeństwo polskie do dziś dnia stoi na tym szczeblu rozwoju społecznego, w którym wypadki historyczne ocenia się z punktu bezpośredniej, odruchowej wrażliwości, a odczuwa się je specyficznym zmysłem, któryby można nazwać d o t y k i e m p o l i t y c z n y m.

Wobec tego ośrodkowy organ naszej wrażliwości społecznej: nasz m ó z g p o l i t y c z n y odbiera jedynie odczucia jednostronne i nie umie nazywać rzeczy właściwem imieniem. Tak się ma rzecz i z »niepraktycznością« postępowania młodzieży warszawskiej. Bo o ile chodzi o fakt relegacyi, to trudno zaprzeczyć, że istotnie szkoda jest przyszłości tych ludzi, jak szkoda jest przewidywanego szczęścia, gdy je zrywa śmierć lub kalectwo. Nie da się również zapanować nad współczuciem, które nas ogarnia po przeczytaniu o fakcie wywiezienia ich wgłąb Rosyi. Ale wszystko to razem wzięte, nie daje nam prawa potępienia ich, w imię jakiejś zasady »praktyczności politycznej«. A przedewszystkiem ta praktyczność polityczna! Wszakże rząd pruski szeregiem swoich rozporządzeń, co tną nić za nicią nasze życie narodowe w Poznańskiem, postępuje ze swego punktu widzenia li tylko praktycznie — a co więcej uważałby się za pozbawionego konsekwencyi, praktyczności, »zmysłu politycznego«, gdyby metodę postępowania zmienił. A jednak? Jednak wszyscy odczuwamy, że w tym wypadku po za kryteryum konsekwencyi politycznej kryje się coś więcej, kryje się zasada humanitarnych pobudek działania i ta zasada rozstrzyga nasz sąd i budzi instynkt pogardy narodowej. Dla czego przy ocenianiu wypadków rewolucyjnych w Królestwie, już od tak dawna jedynie miarkę zimnego rozsądku zdolni jesteśmy przykładać?

A wychodząc nawet z punktu widzenia »polityczności«, nie można identyfikować losu nawet kilkuset ludzi z przyszłością sprawy. Idea nie mierzy się na głowy i tułowia — idea ma swoje życie i swoją potęgę biologiczną i nie wykluczonym bywa nawet i taki wypadek, że interes, życie idei stoi zupełnie w sprzeczności z interesami, życiem tych ludzi, co ją na światło wiodą.

Jeżeli zaś chodzi o domorosłą zasadę potępienia ruchu, co „zwicha karyery tylu ludzi dla bzdurstwa«, to niech się dziennikarstwo galicyjskie uspokoi: tych kilkuset wywiezionych akademików wzrosło w Królestwie i od dziecka mieli przed oczyma tysiące »zwichnięć karyery« i również od dziecka wiedzieli jak ten stan rzeczy mało, jak bardzo mało oziębia nastrój protestu narodowego. Dla naszych galicyjskich ojców rodzin, dla naszej inteligencyi, dla naszych akademików wreszcie, tych akademików, co z dumą opowiadają o bezbrzeżnych poświęceniach przy wyborach do kasy Bratniej Pomocy, lub korowodach z pochodniami — dla nich wszystkich może się to wyda dziwnem, ale wśród Polaków w Królestwie już od małego chłopaka tkwi poczucie nie poświęcenia, ale obowiązku w imię potrzeby narodowej. W Warszawie zupełnie przestają być strasznemi i relegacya i wywiezienie, bo tam nie ma czasu bawić się w przydługie analizy wypadku, wobec tego, że siła odporności społecznej wymaga ciągłego dążenia do ruchu naprzód. A analiza, krytyka — to pauza.

W Warszawie również wśród istotnej inteligencyi nie usłyszałby nikt zdania, że młodzież postąpiła źle, bo zesolidaryzowała się z akcyą kolegów Rosyan. Podobne zdanie jest zgoła dziecinnem: istota sprawy nie zależy od tego z kim się ją robi, ale co się robi, a następnie na co się robi. »Przegląd Wszechpolski«, który ferował swój sąd w imię powyższej maksymy, stanął w zupełnej sprzeczności ze samym sobą — bo wybrał stanowisko sekciarskie i szowinistyczne.

Bez względu na ogólny nastrój opinii społeczeństwa galicyjskiego, »Młodość« podnosi na tem miejscu fakt poczucia honoru zbiorowego, jaki kierował młodzieżą warszawską podczas ostatnich zajść uniwersyteckich, i katerygorycznie oświadcza się z najzupełniejszą sympatyą i szacunkiem dla tych kolegów warszawskich, którzy w imię słusznej solidarności, bo w imię protestu przeciwko wyzyskowi rządu zespolili swoją akcyą z akcyą humanitarnych żywiołów rosyjskich, bez względu na przewidywane kary.

Sympatyą naszą zaznaczamy tem silniej, że w postępku młodzieży warszawskiej widzimy zwycięstwo niezależnego poczucia szlachetności i męstwa nad oportunizmem partyjnym i zdawkową polityką sytej przyszłości.

To co jest przywilejem prawdziwej młodości, a co coraz więcej zamiera tu u nas — to odezwało się wśród naszych w Warszawie i silnie zaznaczyło, że nie zczezła jeszcze do cna tradycya prawdziwej młodości.

Sdl.



TRADYCYA I NOWOŚĆ.

Tradycya i nowość są to dwa pojęcia, około których grupują się zwykle stronnictwa literackie i estetyczne, obyczajowe i moralne, polityczne i społeczne w każdym kraju, w każdym narodzie. Gdy konserwatyzm tradycyi tylko przyznaje wyłączne prawo panowania, krańcowy radykalizm chciałby doszczętnie zmienić kierunki wszystkich potoków życia dziejowego, zaprowadzić nowość na wszystkich jego gałęziach.

Kto jednak spogląda okiem historyka i filozofa na dzieje narodów, rozumie dobrze, że oba te czynniki niezbędne są dla prawidłowego postępu i życia danego społeczeństwa, że każdy ma zatem swoje prawo bytu w programatach żywotnych.

Prawdziwy postępowiec nie będzie ani bałwochwalcą nowości, ani ślepym zwolennikiem tradycyi. Okiem filozofa bada znaczenie obu, jako czynników rozwoju społecznego, rolę każdego w życiu, prawne granice zastosowania, a zdobyte wyniki wprowadza do pragramatów praktycznych.

Spróbujmy dokonać tej pracy analitycznej.

Czem jest tradycya w społeczeństwie?

Jest ona w życiu narodu tem, czem wychowanie w życiu jednostki. Jest dorobkiem historycznym i kulturalnym, owocem pracy cywilizacyjnej stuleci, myślą dziejową, która kieruje rozwojem danego narodu.

Tradycya jest tem, co stanowi o właściwych cechach danego społeczeństwa wśród rodziny narodów, co wyciska odrębne piętno na jego życiu dziejowem i społecznem, na jego sztuce, literaturze, religii i obyczajach.

Naród nie bogaty w tradycye, porównać można do człowieka, który nie zbyt staranne otrzymał wychowanie. Każdy nowy prąd lub kierunek przybiera tu rozmiary i charakter karykaturalny, ruch naprzód jest niepewny, nabytki nie stałe. Każda nowość zakłóca równowagę żywiołów społecznych, a gwałtowny ruch naprzód ustępuje łatwo miejsca również gwałtownemu cofaniu się w kierunku reakcyjnym.

Jeśli historyę można uważać za wychowawczynię ludzkości, to rzec można, że wyrobienie tradycyi stanowi cel dziejów każdego narodu.

Cóż to bowiem tradycya? Tradycya — to instytucye państwowe i społeczne,

które ostały się wśród wiekowych zmian i walk; tradycya — to prawodawstwo, które wytworzyło się z tysiąca przyjętych i odrzuconych urządzeń (konstytucyj) lub postanowień, które dostroiło się do potrzeb i wymagań danego społeczeńswa; tradycya — to owo niepochwytne prawodawstwo obyczajów, oplatające jednostkę — niewidzialną, ale niemniej potężną siecią przepisów i nakazów, nad których nieprzekroczeniem czuwa opinia ogółu, tradycya — to zbiór wierzeń, legend, pamiątek, wspomnień, wszystko to, co podsyca życie duchowe społeczeństwa, co mu nadaje piętno swojskie. Wszystko to, co dziecię z mlekiem wysysa z piersi matki, wszystko to, co młodzieniec przyswaja sobie w szkole i domu, co mąż zastaje gotowem w swoim narodzie — oporka, na której spoczywa jego życie i postęp, wszystko to jest zdobyczą dziejową, a więc należy do tradycyi.

Dzieje można porównać do wielkiego sita: im wieki są odleglejsze, tem drobniejsze otworki tego sita. Ze wszystkiego, co wytwarza chwila bieżąca, bardzo wiele już odrzucają najbliższe lata; ileż to myśli i książek, prądów społecznych i aspiracyj nie przechodzi nawet przez grube otwory, które reprezentuje sąd najbliższych pokoleń!

Lecz im zdobycz jest trwalsza, im bardziej dostosowana do potrzeb i rysów indywidualnych danego narodu, tem dalej i dalej przesiewa się przez mgłę niepamięci wieków, podobna do najsubtelniejszego proszku, który przechodzi przez najdrobniejsze otworki. Z takiego to subtelnego proszku składa się tradycya narodu.

Lecz tradycya reprezentuje tylko przeszłość. Im doskonalsza, im przez dłuższy szereg wieków wypracowywana, tem lepiej odpowiada potrzebom życia potocznego danego społeczeństwa. Wszakże takie życie nie wyczerpuje zadań jego.

Chiny przedstawiają obraz społeczeństwa, w którem tradycya wszystko wypracowała, obmyśliła, uregulowała stosownie do potrzeb i warunków życia tego narodu. Wszystko — do formy odzienia i grubości podeszwy włącznie, obmyślane i z góry przepisane, zastosowane do potrzeb klimatu, usposobienia narodowego i t. d. Zdawałoby się, że nic nie brakuje do szczęścia temu narodowi, nad którym potężna tysiącoletnia tradycya rozpostarła swą opiekuńczą dłoń?

A jednak uważamy to społeczeństwo za martwe, i świeże wypadki okazały całą niezdolność jego do stawiania czoła nowym warunkom dziejowym.

Bo każde społeczeństwo prócz życia potocznego swoich jednostek żyć musi jako całość, t. j. życiem dziejowem. Tam gdzie niema życia dziejowego, t. j. p o s t ę p u, nadchodzi śmierć moralna i rozkład.

Ale na czemże polega postęp?

Na wprowadzeniu nowości: nowych myśli i uczuć, nowych poglądów i zwyczajów, instytucyj i dogmatów społecznych.

Postęp wyznacza kierunek p r z y s z ł o ś c i dla narodu tak, jak tradycya jest zreasumowanym wynikiem jego przeszłości.

Dzisiejsze idee i tendencye postępowe wejdą kiedyś w skład tradycyi, tak jak w tradycyi dzisiejszej odnajdujemy prądy, które były nowością przed stu laty.

Kto więc ocenia i szanuje tradycyę, powinien przez to samo zrozumieć i oceniać

postęp, jako tradycyę przyszłości; a kto jest zwolennikiem postępu, pamiętać winien, że celem jego jest wytworzenie tradycyi dla przyszłych pokoleń.

Nie każda wszakże nowość jest objawem postępowym. Tylko te idee i plany, które przejdą przez coraz zwężające się otworki sita dziejowego, wcielą się w skład życia narodowego, wszczepią się w jego tradycyę. Reszta — ogromne masy nowości, nie odpowiadających ani jego potrzebom, ani wogóle wymaganiom czasu, uczucia, rozumu,* zostaną odrzucone, jako plewa niezdatna.

Moda, chwilowo otaczająca niektóre nowości, ludzić może zwodniczemi pozorami postępu; ale oko czujne i badawcze z łatwością wykryje blichtr i odróżni go od złotego ziarna prawdy, która jest probierzem idei postępowych. Bo postępem jest to, co jest prawdą — dla chwili danej przynajmniej; prawdą niekoniecznie w znaczeniu naukowem, nie koniecznie prawdą poznania, ale prawdą serca, prawdą moralną — czyli prawdą czynu.

Bywają też smutne chwile w dziejach, gdy nowość wprost rozmija się z postępem; staje się jego przeciwnością — chwile reakcyi, cofania się na polu umysłowem, odpływu fali postępowej. Szermierz postępu powinien umieć odczuć te chwile i stanowczo wystąpić przeciwko nowości, która jest tylko maską wstecznictwa.

Ale skoro nie każda myśl najnowsza jest najbardziej postępową, jakże odróżnimy postęp prawdziwy od strojącej się w jego pozory mody, od ukrywającej się pod jego maską reakcyi?

Na to mamy dwa probierze: probierzem filozoficznym jest wspomniana już prawda naukowa i etyczna, ukryta w każdej idei postępowej; probierzem dziejowym jest ogólny kierunek, w którym podąża rozwój ludzkości.

Wszystko, co w życiu społecznem postępuje od potrzeb szczegółu do potrzeb ogółu, zgodne jest z duchem prawdziwego postępu; wszystko co cofa się od ogółu do szczegółu jest reakcyą.

Idee, prądy, dążności, instytucye, które zamiast interesu jednostki występują w interesie klasy lub stanu; zamiast interesów klas — interesach całego narodu, zamiast narodu — w interesach ludzkości — zaznaczają stopniowo rozszerzający się kierunek postępowy; wszystkie przeciwne, są objawami wstecznictwa.

Używając utartych wyrażeń, rzec można, że postęp idzie od indywidualizmu ku uspołecznieniu. Wszakże używamy wyrazu indywidualizmu nie w tem znaczeniu szlachetnem, w jakiem go pojmowała literatura XVIII stulecia, nie jako walkę o prawa i emancypacyę jednostek. Indywidualizm w tem znaczeniu nie jest przeciwstawny uspołecznieniu, gdyż wyższą formą uspołecznienia jest ta, która daje większą rzeczywistą wolność jednostce. Używamy więc tu wyrazu indywidualizm w tem znaczeniu (nie koniecznie poprawnem) jakie mu nadała manczesterska szkoła w ekonomii społecznej, a dekadentyzm w literaturze potocznej; t. j. jako pretensyę jednostki do zagarnięcia wszystkiego dla siebie wbrew innym jednostkom; jako prawo pewnego „ja“ do wsiadania na kark innym.

Cały rozwój dziejowy ludzkości jest emancypacyą jednostki od tak pojmowa-

nego indywidualizmu; a wynik ten dziejowy jest niewątpliwym probierzem przy ocenie postępowości idei, czyli, jak wyraziła się nasza znakomita powieściopisarka * „stopnia cywilizacyi“ danego społeczeństwa, co na jedno wychodzi, gdyż stopień cywilizacyi mierzy się postępowością idei i instytucyj.

Z tego cośmy powiedzieli można wysnuć kilka wniosków.

Pierwszy dotyczy oceny przeszłości. Nie powinniśmy nigdy oceniać instytucyj, idei, prądów pewnej chwili dziejowej ze stanowiska panujących obecnie wymagań postępowych, lecz stosować do nich miarę wymagań czasu, w którym powstały, a unikniemy w ten sposób niesprawiedliwości dziejowej. Nonsensem jest np. potępiać pewne instytucye dawne lub odmawiać im prawa do wdzięcznej pamiątki u następnych pokoleń, jak to czynili niektórzy względem Konstytucyi 3go maja dlatego tylko, że nie odpowiadają naszym dzisiejszym wymaganiom. A nietylko krańcowi radykaliści, ale właśnie przeważnie konserwatyści, którzy w swojej czci dla tradycyi powinniby lepiej zrozumieć znaczenie jej w dziejach, grzeszą najczęściej niesprawiedliwą oceną przeszłości. (Krakowska szkoła historyczna).

Pewnym probierzem przy sądzie o instytucyach przeszłości jest pytanie: czy w danej epoce odpowiadały one owemu ogólnie dziejowemu kierunkowi; czy od interesów jednostek i klas stanowiły postęp ku potrzebom całego narodu; od wymagań ciasno narodowych ku ogólnie ludzkim?

Drugi wniosek dotyczy oceny i zastosowania nowości. Postępowiec powinien tu zachowywać się jak ogrodnik, przenoszący szlachetny gatunek na stare drzewo owocowe w celu jego odświeżenia.

Przekonawszy się niezawodnie na podstawie podanych probierzy, że idea, którą zaszczepić pragniemy, jest rzeczywiście postępową, powinniśmy przedewszystkiem pomyśleć o nadaniu jej kształtów zgodnych z osobliwościami i potrzebami naszego społeczeństwa, przelać ją w taką formę, któraby najlepiej odpowiadała jego charakterowi i skłonnościom indywidualnym, t. j. jego tradycyi.

Aby szlachetny zraz przyjął się na płonce, powinien być ściśle do niej dostosowany.

Ale ta idea może stać w prostem przeciwieństwie do pewnych wymagań tradycyi.

W życiu dziejowem jest prawem powszechnem, że idea, postępowa w swoim czasie, gdy już spełniła swoje przeznaczenie cywilizacyjne i przestała być rzeczywistym składnikiem życia, zachowuje się jako próżna forma. Zakrzepła w dogmatyzmie i utraciwszy treść żywą staje się przeszkodą do dalszego postępu, jak zeschła gałąź, która, martwa, tkwi na drzewie tamując swobodny rozwój młodych pędów.

Jakże postępuje ogrodnik z takiemi suchemi gałęźmi? Ścina je swoim nożem, a na ich miejscu zaszczepia świeżą i żywotną latorośl.

Nie powinniśmy się nigdy wahać w wyborze pomiędzy skrzepłą formą prze-

---

* Pow. Dwa bieguny Orzeszkowej.

szłości a płodną przyszłości ideą, jeśli one stoją w nieprzejednanem przeciwieństwie do siebie; ale nie powinniśmy też bezmyślnie niszczyć gałęzi bogato rozwiniętego drzewa życia dziejowego, dlatego tylko, że reprezentują tradycyę, a wszelką nowość przeciwnie powinniśmy starać się doprowadzić do harmonii z owemi już wyrobionemi kształtami: tylko w takim razie bowiem możemy liczyć na jej rychłe przyswojenie, a postęp wieku potrafimy nawiązać na nić tradycyi dziejowej.

Są wszakże społeczeństwa, w których pewne źródła życia dziejowego zostały zatamowane i tradycya ich wygasła Takie społeczeństwa przedstawiają z jednej strony wielką dogodność do szczepienia nowości postępowych, gdyż wszystkie przeszkody, jakieby mogła stawiać tradycya, są tu usunięte; z drugiej zaś strony brak tu twardego wyrobionego gruntu, na którym mogłyby spocząć te inowacye.

Jakże ocenimy znaczenie i wartość nowych idei dla takich społeczeństw?

Powinniśmy sobie tylko idealnie rekonstruować przerwane dzieje, tak, jak gdyby się one odbyły w rzeczywistości, — a z łatwością znajdziemy punkt oparcia dla naszych wymagań. Innemi słowy: powinniśmy nawiązać nić tradycyi z nowością. Inne pytanie, czy społeczeństwo okaże się dość przygotowanem, aby odpowiedzieć na nie. Nie potrzebujemy wszakże zniżać haseł naszych dlatego tylko, iż nie ufamy, aby zostały wcielone całkowicie: każda chwila dziejowa sama obniża ideę postępową do tego poziomu, na jaki wznieść się może przyjmujące ją społeczeństwo.

W. Kotwicz.

CZEGO CHCĄ NAJMŁODSI?

(Szkic do programu).

Na arenę życia publicznego zaczyna powoli wysuwać się najmłodsza generacya, „my młodzi". Pokolenie to popowstaniowe. Rozpaczliwą walkę i jej bezpośrednie następstwa znamy z tradycyi. Ojcowie nasi przedstawili nam powstanie, jako szereg czynów bohaterskich, a śmiałych, bezowocnych napozór tylko porywów.

Z ust starszych braci słyszeliśmy o okropnych skutkach powstania 63 roku, o zgubności podobnych wybuchów i o tem, że należy iść inną drogą. Drogą żmudnej na długie, długie lata rozłożonej systematycznej pracy... „pracy organicznej". Pod takiemi to wpływami ze strony naszych najbliższych wychowało się i dorastało pokolenie najmłodsze. W polityce narodowej przykład ojców zachęcał nas do obrony czynnej — bracia starsi nawoływali do biernego oporu, graniczącego ze „zgodą z losem".

I te dwa znoszące się wzajemnie poglądy na sprawę narodową: obrona czynna i opór bierny, jak dwa w przeciwnym kierunku biegnące potoki, przy zetknięciu się, wytworzyły wir. Ci co weń wpadli musieli iść zgodnie z zasadą mechaniki w kierunku siły większej, — w przeciwnym kierunku wbrew dominującemu prądowi, mogli płynąć tylko bardzo silni i dzielni, lub zapaleni idealiści — u których wiara w słu-

szność słabszego kierunku była większą, niż obawa zatonięcia. Przeważał i po dziś jeszcze przeważa kierunek „pracy organicznej“ w różnorodnych jej przejściach wedle stosunków miejscowych w trzech dzielnicach Rzep. polskiej. Od reakcyjnych i antipolskich dążeń ugodowych, aż do najsympatyczniejszych i najbliżej nam stojących programów demokracyi narodowej i ludowców — zasadniczą myśl organiczników, „przystosowanie do warunków“ — wszędzie odnaleść łatwo: „Przegląd Wszechpolski“, organ młodej demokracyi narodowej w programie swoim z roku 1897 obok bezzaprzeczenia korzystnych dla uświadomienia narodowego postulatów, nie dwuznacznie zaznacza konieczność „przystosowania się“ i potępia rewolucyonizm, przewidując jego skutki.

Nie mniej natchnionym ideałami pracy organicznej jest i nasz ruch ludowy w Galicyi i Poznańskiem. Prace ludowców były zdaniem naszem o wiele donioślejsze, jeśliby się nie ograniczały li tylko na zdobyciu słusznie przynależnych praw ludu wiejskiego, na interpelacyach i żalach, składanych u stóp wielkiego ołtarza w Wiedniu; lecz żeby były skierowane głównie ku rozszerzeniu naszej autonomii, a przedewszystkiem ku rzetelnemu i ciągłemu uświadomieniu ludu, że wszystkie nasze niedomagania leżą w braku samodzielności narodowej. Niejasnem jest dla nas i stanowisko ludowców „młodej polski“ w Poznańskiem. Stronią oni jeszcze zawsze od opozycyjnych elementów niemieckich, a mianowicie od potężnej partyi robotniczej, która przecie tyle dowodów szczerej sympatyi dla Polski złożyła i jawnie przyznaje prawo do niezależności Polaków. Tłumaczymy to sobie tem, że aspiracye ludowców nie idą tak daleko, i w fakcie tym widzimy znowu zasadę organiczników zgody z więzami, aby tylko te więzy nie zbyt silnie wcinały się w nasze ciało.

Że wszelkie konserwatywne, ugodowo-stańczykowskie, i klerykalno-antysemickie prądy są nam wstrętne, to chyba po tem cośmy powiedzieli akcentować nie trzeba. O ile bowiem szanujemy wiarę wyznawaną przez ogromną większość naszego narodu, o ile gotowi jesteśmy przyłożyć rękę do czynnego oporu przeciw prześladowaniom religijnym, o tyle uważamy za potępienia godny obskurantyzm podporządkowywanie sprawom kościoła katolickiego interesów narodowych, a wprost wrogim nam, używanie religii kat. do celów państwowych. Antysemityzm w oczach naszych, to wyzyskany przez elementy wsteczne — odruch ciemnego ludu, gnębionego ekonomicznie i nieświadomego prawdziwych przyczyn naszej nędzy. Oświata najlepiej przeciwdziałać może wstrętnemu wyzyskowi żydowskiemu, lecz jedynie emancypacya narodowa zmusi żydów, chętnie stojących przy „silnych“, do asymilacyi.

Z tego cośmy tutaj powiedzieli wynika, że żaden z prądów nurtujących społeczeństwo nasze, nie unosi nas. W bliższych nam programach widzimy jeszcze oportunizm, który bezwątpienia w swoim czasie przyniósł sprawie naszej pewne korzyści — lecz nie rozwiązał jej. A z tego wniosek, że jak słusznie zauważył o nas jeden z wybitniejszych twórców pracy organicznej: „jesteśmy więcej podobni do ojców naszych, niż do braci starszych“. W ukształtowaniu się naszych aspiracyj narodowych wzięli górę ojcowie nasi, obok gorejącej miłości ojczyzny, która braci starszych do pracy mrówczej skłoniła, odziedziczylismy jeszcze po ojcach naszych ich wiarę

w przyszłość i ich temperament, żądny walki. Na najmłodszych spełniły się może naściślej słowa Byrona:

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów zachwiana potęga
Skończy zwycięstwem.
. . . .
. . . .

Na uformowanie się naszych pojęć społecznych miały wpływ dwie sprzeczne z sobą teorye Marksa i Nietzsche'go. Credo socyalistów streszczające się w wyzwoleniu klas pracujących z pod ucisku kapitału, jest tak sprawiedliwe, że w przyjęciu jego wahać się nie można. Można debatować nad „Zukunftsstaatem", nad taktyką partyi etc., lecz nie nad samą kwintesencyą socyalizmu. Raził nas i odtrącał początkowo kosmopolityzm tego ruchu; w miarę atoli jak w grunt nasz polski wsiąkał, stawał się coraz bardziej narodowym. A gdy ostatecznie w statucie organizacyi robotników polskich (P. P. S. *) Sztandar niepodległości Polski na plan pierwszy wysunięto (w r.1893), „Polska partya socyalistyczna" stała się jedyną — szczerze rewolucyjną i świadomą swych dążeń — organizacyą narodową. Jasne zrozumienie piekących potrzeb narodowych, stawia organizacyą P. P. S. w najbliższem z nami sąsiedztwie.

Narodowy kierunek partyi warszawskiej zwyciężyć jednak musi i w Galicyi, jako bardziej odpowiedni naszym warunkom Nadto nad społeczno-etycznymi poglądami „najmłodszych" dominuje nie Marks lecz raczej Nietzsche. Indywidualizm usprawiedliwia i uzasadnia potrzebę socyalizmu, jako stadyum przejściowego w rozwoju ewolucyjnym ludzkości, wysuwa atoli na plan pierwszy całkowitą wolność jednostki. Wobec teoryi indywidualizmu, domagającej się oswobodzenia człowieka z pod wszelkich więzów, jakieby go krępować mogły, socyalizm, emancypacya klas jest małym drobnoustrojem. W indywidualizmie widzi socyalizm potężnego nieprzyjaciela, który już dziś pustoszy szeregi wyznawców Marksa. Gdyby nasi drobnomieszczańscy i herbowi krytycy socyalizmu mogli się podnieść do wyżyn teoryi Nietzsche'go, to nie narażając się na słuszne kpiny socyalistów, mogliby wielu z „inteligencyi" nawrócić — co prawda nie na swoją wiarę, lecz na wiarę naszą. Nietzsche znajduje coraz więcej zwolenników między młodą inteligencyą polską, indywidualizm leży bowiem we krwi naszej, jest on bardziej niż socyalizm w „duchu polskim", przypomina bowiem nasze dawne, na one czasy zgubne, niemniej charakterystyczne *liberum veto*.

* * *

*) P. P. S. — jeden z odłamów partyi socyalistycznej w Rosyi. (Przyp. red.)

Jeśliby było na miejscu mówić tu o przyszłości, to uwolniona z więzów Polska przez uświadomione masy ludowe, winna mieć, w mniemaniu naszem, ustrój podobny do małej demokratycznej rzep. szwajcarskiej. Sprawy plemienne, jak u nas Litewsko-Rusińska i religijne — zostały tam rozstrzygnięte doskonale przez zasadę federacyi. Demokratyczna rzeczpospolita helwetska, otaczająca rządową opieką robotników, ze swojem referendum i inicyatywą z powszechnem głosowaniem i prawodawstwem ludowem, z jedynym progresywnym podatkiem od dochodów, upaństwiająca różnorodne gałęzie produkcyi w miarę potrzeb narodu, ze swoją nareszcie milicyą narodową — i szkołami dostępnemi dla wszystkich, jest dla nas ideałem ustroju państwowego.

Ilu nas jest, nie wiem, lecz przypuszczam, że wielu. Czy jesteśmy dość silni, aby marzenia ojców naszych wprowadzić w życie? Dziś jeszcze może nie, lecz kto wie, co będzie jutro?

Bez względu jednak na liczbę i siłę, jaką rozporządzamy nie da się zaprzeczyć, że jesteśmy wytworem naszego społeczeństwa, naszych ideałów — a przedewszystkiem c h c e m y ż y ć i to zdaniem naszem daje nam prawo głosu.

Zosin.

Adam Siedlecki.

NIEWOLNICY KRWI

opowieść sceniczna w trzech odsłonach.

(Ciąg dalszy pierwszej odsłony).

K o l b e r. Żono, przedstawię ci mojego przyjaciela i kolegę gimnazyalnego: pan Rozleniecki, obywatel z Polesia.

K o l b e r o w a. Bardzo mi przyjemnie. Proszę, niech pan siada. Nieporządek tu jest, ale panowie podobno w takim nieporządku z za kulis smakujecie.

R o z l e n i e c k i (siada). Co tam nieporządek.

(Kolber z Nitowiczem odchodzą wgłąb, cicha rozmowa).

K o l b e r o w a. Pan naturalnie nie specyalnie na mój koncert przyjechał.

R o z l e n i e c k i. A któżby dobrodziko czterdzieści oblewanych mil rżnął na koncert. Zgłupiałby. Kolber... niby mąż pani, pisze do mnie raz: przyjedź, drugi raz pisze: przyjedź — ta w końcu myślę — trzeba przyjechać: nie zjedzą w Warszawie.

K o l b e r o w a. Zapewne macie panowie jakie interesy?

R o z l e n i e c k i. Abo ja wiem? Do tej chwili siedzę jak głupi: nie chce powiedzieć. Mówi: zaczekaj. Ta i czekam.

(Kolber podprowadza Nitowicza do nich).

K o l b e r. To panowie się nie znają. Przepraszam, żem odrazu nie zaprezentował. Pan Nitowicz — pan Rozleniecki.

R o z l e n i e c k i. Bardzo mi przyjemnie.

(Kolber nachyla się, aby powiedzieć żonie kilka słów do ucha. Marta nie dosłyszała, pyta go wzrokiem).

Nitowicz (przeciera binokle, prawie impertynencko ogląda Rozlenieckiego od stóp do głowy). Ale pan dobrodziej to zapewne z Ukrainy?

Rozleniecki (zupełnie naiwnie). Nie panie, z Polesia.

Nitowicz (odchodząc z nim od Kolberów). No to i Polesie prowincyjka niczego... (oddalają się).

Kolberowa Józiu.

Kolber. Słucham.

Kolberowa. Coś ty mi przed chwilą szeptał do ucha? Nie słyszałam.

Kolber (ogląda się, czy nikogo blizko niema, nachyla się nad nią). Informowałem cię, abyś możliwie najskuteczniej — — rozumiesz? — Idzie nam o to... Chcę żeby się z Marynią żenił.

Kolberowa. Z Marynią? — — z naszą Marynką?! — — — Dla czegóżeś mi przedtem nic nie mówił o tym projekcie?

Kolber No... dlaczego... dlaczego... — — Czy ci w końcu nie wszystko jedno?

Kolberowa. Ale bój się Boga -— on taki, jakby to grzecznie powiedzieć... taki prymitywny...

Kolber. Im głupszy, tem lepszy (chce odejść).

Kolberowa. No to prawda... Zaczekajno; pójdę jeszcze z tobą.

(oddalają się ku garderobie — stają we drzwiach, on w głębi niewidzialny dla widza — ona zwrócona twarzą do niego — ożywiona rozmowa, wzajemne przekonywanie się).

Adaś (do Jerzego).

Teraz ja proszę pana — prawda? (chodzi rozdenerwowany po scenie, powtarza rolę): »I menueta już spłynęły fale«... (staje w pozycyi z ukłonem): »I menueta już spłynęły fale«... (z coraz większą tremą).

»I menueta. . . . . .« Tamtędy

(biegnie za kotarę — przy podniesieniu płótna ukazuje widzowi Władkę, wypatrującą, dokąd poszedł Kolber).

(W chwilę potem za Adasiem idą tą samą drogą Nitowicz z Rozlenieckim. Podnoszą kotarę — — Władka drgnęła. Nitowicz wita się z nią, i idą dalej. Władka wchodzi na scenę... Jeszcze raz rozgląda się — spotyka się ze wzrokiem Jerzego — uśmiechy — Władka podchodzi doń wolno, bardzo wolno, ciągle patrząc na niego. Podeszła blisko, siada na krzesełku i odrzuca w tył głowę ruchem nerwowym, energicznym, przeciąga się, zakłada ręce za głowę. Jerzy wpatruje się w nią, nie odrywa oczu).

Jerzy (do Władki). A dlaczego pani przedtem nie dała mi się przyjrzeć?

Władka (unika szczerej odpowiedzi). Eh! nic.

Pękowski (odwraca wzrok ze scenki, niezadowolony; do Jerzego). No niechże kochany pan sam popatrzy, jak ona knoci.

Jerzy. A niechże sobie knoci! Daj mi pan święty spokój.

(Siada z Władką w kącie, obok kulis, napół widziany dla widza. Kolber z żoną zwolna podchodzi na pierwszy plan).

Kolber. Zresztą moja droga tu niema dwóch alternatyw wyboru. Sytuacya przedstawia się zupełnie wyjaśnioną: Marynia nie ma grosza posagu i za mąż wyjść musi. Nasza matka usilnie to konstatuje codzień rano, codzień podczas obiadu, codzień szarą godzinką, codzień na dobranoc, nie licząc tego, co przez sen mówi.

Kolberowa. Ale i ten pan Rozleniecki bez posagu się nie ożeni.

Kolber (dobitnie). Powinno mu się zdawać, że Marynia ma posag. (Ogląda się na strony).

Kolberowa. Czyli zwyczajny podstęp i dość brudny.

Kolber. W argumentacyi, mógłbym się za-

słonić jednym co prawda tylko przykładem, ale decydującym.

Kolberowa. O czem chcesz mówić?

Kolber... Że najzupełniej identyczne obietnice jak Rozlenieckiemu, i mnie były dawane przed ślubem. . . . .
A chyba nie możesz powiedzieć, abym kiedykolwiek wyzyskiwał ten fakt?

Kolberowa (oczy utkwiła w ziemię — cicho). ...Nie.

Kolber. A co do dobroci serca, nie mam nawet ochoty stawania do konkursu z Rozlenieckim. Jeżeli więc, ja — Kolber nie robię żonie wyrzutów iż... iż... no, iż mu... nie mogli dotrzymać warunków, to cóż dopiero Rozleniecki, człowiek poczciwy z kościami, no... i głupi z kościami, (przechodzi do tonu życzliwego, na pół seryo). Coprawda nie wziąłem tutaj pod uwagę najważniejszej bodaj pozycyi: osobistych zalet, jakie każda z was wnosi ze sobą w małżeństwo, a które, że tak powiem, zniewalają do przemilczania bólów finansowo-posagowych. Nie wiem, która z was wygra na tem zestawieniu, no ale jako *brave gentelman*, utrzymuję, że naturalnie nie kto inny, tylko moja żona i pani (wyszukany ukłon).

Kolberowa (od chwili patrzy na niego, dość obojętnie przyjmując kompliment). Co jednak nie przeszkadza mojemu mężowi i panu romansować poza domem. (Lekko zwraca głowę w stronę Władki).

Kolber (z uśmiechem — niezbity z tropu). Mój Boże! Cóż w tem dziwnego: małżeństwo jest taką instytucyą, gdzie mąż w domu romansować nie może.

Kolberowa ...Tylko żona? Czy to przytyk do mnie?

Kolber. Zkądże znowu! Zatraciłem w tej mierze atrybucyę osądzania, poprzestaję jedynie na prostem skonstatowaniu faktu.

Kolberowa. Co najmniej przedwczesnego.

(Nitowicz z Rozlenieckim wraca z za kotary).

Kolber (wybucha szczerym śmiechem). Ha, ha, ha, ha! Przedwczesnego! Ha, ha, ha! Panie Nitowicz, mój panie (podchodzi doń, bierze pod pachę, podprowadza ku żonie) Szanowni państwo: bawcie się! (ciągle się śmieje) (do Rozlenieckiego:) Chodź Franek, (do żony i Nitowicza): Bawcie, bawcie się państwo!

(Kolberowa patrzy na Nitowicza pytająco — on na nią, nie wiedząc o co chodzi).

Nitowicz (konkludując)). No to się bawmy! (podaje jej ramię — odchodzą ku garderobie dam).

(Kolber siada, obserwuje rozmawiających z zajęciem Jerzego i Władkę).

Jerzy (do Władki). Moja pani — niech no pani trochę grzywkę podniesie (podnosi jej grzywkę, zatrzymuje dłoń na jej skroni. Patrzą na siebie — zrazu uśmiechają się, następnie wybuchają głośnym śmiechem).

Kolber (podchodzi do nich zwolna — wpatruje się w nich — półgłosem): Ccicho! (grzecznie). Tam sztuka idzie (z naciskiem). Pana Skierskiego sztuka.

(Władka milknie, znać niepokój na jej twarzy. Kolber patrzy na nich przenikliwie).

Rozleniecki (który wałęsał się dotąd w ostatnim planie, podchodzi do Kolbera). No — Kolber, może zaczniemy nareszcie — co?

Kolber. A dobrze... — (odchodzi od Jerzego i Władki, po drodze jeszcze raz rzuca na nich ostre spojrzenie). — Siadaj. — (Sam siada).

Rozleniecki. No więc pocóż ja przyjechał?

Kolber. Siadajże... Więc dzierżawisz ciągle tę dziurę — Białotyczówkę?

Rozleniecki. A dzierżawię.

Kolber. I kiepsko ci się powodzi — powiadasz?

Rozleniecki. Pod psem.

Kolber. I chętniebyś chciał, żeby ci się lepiej powodziło.

Roleniecki. Ano głupi bym był, jakbym nie chciał.

Kolber. Definicya zupełnie ścisła.

Rozleniecki. Ale w końcu, poco ja tu przyjechał?

Kolber. Zaczekaj. Więc chcesz, żeby ci się lepiej powodziło?

Rozleniecki. Dyabli mi z tego, że... chcę.

Kolber. Ale koniec końcem chcesz?

Rozleniecki (z irytacyą). No chcę!

Kolber. Mnie tylko chodziło o zaświadczenie faktu z twojej strony.

Rozleniecki. I ja niby po to jechałem czterdzieści mil?

Kolber. A nie. To znowu inna sprawa. Widzisz, znamy się od szkolnej ławy. Wspomnienie wiąże — co?

Rozleniecki (niechętnie — zniecierpliwiony). Wiąże.

Kolber. A do tego byłeś zawsze porządnym chłopakiem. Prawda?

Rozleniecki. No... nienajgorszym.

Kolber. Widzisz... sam mówisz... No i gdyby ci tak kto powiedział: słuchajno Franek, Kolberowi nie tęgo idzie — co byś zrobił? Pomógłbyś prawda?

Rozleniecki. A pomógłbym, jakżebyś chciał!

Kolber. Sam mówisz. Pomógłbyś — a dla czego?

Rozleniecki. Ano... bo... tego... Bo się tak godzi.

Kolber. O! Ooo! Bo się tak godzi! Więc widzisz, skoro doszła mnie wiadomość, że Rozlenieckiemu źle idzie, pomyslałem sobie: Frankowi trzeba dopomódz, bo się tak godzi!

Rozleniecki (widocznie udobruchany). No... no ja zawsze mówił, żeś dusza nie człowiek. Takeś sobie pomyślał?

Kolber. Co do joty.

Rozleniecki (rozrzewniony). No toś poczciwina. Dawaj gęby. Zawsze mówiłem, (całując go) zawsze mówiłem (powtórny uścisk). Odrazu mówiłem, żeś, jak się nazywa, dusza nie człowiek.

Kolber. No więc siadajże Franek.

Rozleniecki. Zaraz, zaczekaj... (rozgląda się po scenie) bo tego... Ale tu zapewne niema. Niby... żeby tak kropnąć sobie starki — co? Tak choć po jednej — co?

Kolber. Nie — dzięki. Chyba potem.

Rozleniecki No — jedną?

Kolber. Po rozmowie... Najprzód dokończymy.

Rozleniecki. Ta, co tam kończyć.

Kolber. Napijemy się u nas. Siadaj. Na kolacyę naturalnie idziesz z nami — do domu. Zażyj trochę ciepła domowego. Tobie tam musi być u siebie smutno biedaku.

Rozleniecki. Tać i nie wesoło.

Kolber. Ciągle sobie myślałem: jak tam Frankowi musi być smutno. Bo... żeby się choć ożenił (szybko, a nieznacznie spogląda na Rozlenieckiego).

Rozleniecki. Ji!

Kolber. Nie? Ale pomyśl tylko, jak to przyjemnie żonatemu: kobieta, dzieci, spokój życiowy. Na seryo ci mówię, z doświadczenia, nawet obiad lepiej smakuje.

Rozleniecki. E! jak się z fornalami naujadam przez całe pół dnia, to mi i tak smakuje; dyabli mi tam jeszcze po babie.

Kolber. No ale gdyby tak młoda, ładna —?

Rozleniecki. ...Toby prędzej. — — — — Ale po co mi żony kiedy i tak bieda.

Kolber (pozornie patrząc w górę — obserwuje go). A przypuśćmy tak: żona młoda, ładna — i posag.

Rozleniecki (po chwili). E! taki bym się nie ożenił.

(z za kulis mały oklask — wychodzi ze scenki Marynia. Jerzy opuszcza pospiesznie Władkę).

Marynia (zmęczona). Aa! (przeciąga się nieznacznie, następnie z uśmiechem podaje ręce Jerzemu).

Kolber. Maryniu — pozwól, przedstawię ci pana Rozlenieckiego. (Do Rozlenieckiego). Panna Chomieniewska, siostra mojej żony. Maniu staraj się o względy Franka, bo to twój konkurent.

Rozleniecki. Ta co ty... tego.

Marynia (swobodnie). Proszę się nie tłómaczyć, bom gotowa uwierzyć. — — Ale teraz panowie wybaczcie: muszę z autorem pokonferować, (zbliża się do Jerzego). Aa! (jakżem zmęczona. (siada bezwładnie na fotel). Panie Jerzy — jakże?

Jerzy. Brawo było...

Marynia. Co mi tam brawo... ale twoje zdanie: zdanie twórcy.

Jerzy. Mnie się bardzo podobało.

Marynia (pieszczotliwie). Nie podziękuje? — (Jerzy uśmiecha się, podnosi spokojnie jej rękę do ust). —
Muszę iść do garderoby... Tam zaciszniej (podaje mu obie ręce, nie ruszając .się z miejsca. Jerzy wolno podnosi ją). Dziękuję... Nie przyjdzie tam?

Jerzy (wymijająco). Nie mogę: muszę uważać.

(Jerzy idzie kilka kroków za nią.)

Marynia. Prawda. Do widzenia (odchodzi).

Rozleniecki (po odejściu Maryni, podchodzi do Kolbera). (Z wyrzutem). Ciebie się zawsze głupstwa trzymają... Co za koncept? Powiada: konkurent.

Kolber. To nie jest koncept. Traktuję sprawę zupełnie na seryo.

Rozleniecki. Niby... tego... jakto?

Kolber. Poprostu chcę cię namówić, abyś się starał o nią.

Rozleniecki. Ja?? — — — Kolber... ta co z tobą?! (patrzą dłuższą chwilę na siebie).

Kolber. Czegóż chcesz — ładna?

Rozleniecki (niepewnie). Ładna.

Kober. Młoda.

Rozleniecki (zły). Nie patrzyłem jej w zęby!

Kolber. Ale ja jej patrzyłem. A do tego ma posag.

Rozleniecki (z coraz silniej wzmagającą irytacyą). Ta ja się nie chcę...

Kolber. Ccć... nie tak głośno.

Rozleniecki (zniżając głos, ze złością). Ja się nie chcę żenić.

Kolber. To nic nie znaczy.

Rozleniecki (zapomniał o uwadze, podnosi głos). Ta co mi gadasz, nic nie znaczy!

Jerzy (przechodząc od drzwi garderoby ku Władce). Ccicho!

Kolber (mityguje Rozlenieckiego). Pst! Tam grają. Nie gorączkuj się. Siadaj... No usiądź że. Widzisz biorę ołówek, kawawałek papieru i rachuję, uważasz...

Władka (nie patrzy na Jerzego) — (zwolna). Proszę pana, chciałam się zapytać o coś.

Jerzy. Co takiego?

Władka (podnosi nań wyrok). Ale powie mi pan prawdę.

Jerzy. Naturalnie.

Władka (nieśmiało). Proszę pana... czy... tamta panna jest pańską narzeczoną?

Jerzy. Nie.

Władka. I nie kocha jej pan?

Jerzy. Nie.

Władka (ze wzruszeniem). I to jest święta prawda?

Jerzy. Najświętsza.

Władka (wpatruje się z całą siłą wzroku w Jerzego — następnie szybko nachyla się, całuje go w rękę, nie patrząc nań, ucieka za kotarę).

Jerzy (z początku stoi chwilę, patrząc za Władką nieświadomy, następnie twarz mu się rozjaśnia). Aha!! (biegnie w ślad za nią).

(Kolber obserwował koniec ich sceny, nerwowo wstaje, szybkim krokiem przechodzi wzdłuż sceny, z nienawiścią patrzy w stronę kotary.)

Rozleniecki. Cóż ciebie tak ukąsiło?

Kolber (po opanowaniu wrażenia — wraca do rachunku pokazuje Rozlenieckiemu cyfry). Widziałeś.

Rozleniecki. No — —

Kolber. Tyle masz dochodu z Białotyczówki?

Rozleniecki. No niech będzie...

Kolber. To maximum — a Koroniny w najgorszym roku przynoszą — — zaczekaj — ile? (rachuje). Dwa i pół razy więcej; a do tego nie dzierżawa, a własny majątek — będziesz miał własną wieś.

Rozleniecki. A zkądże ja ją wezmę?

Kolber. Dostaniesz w posagu za Marynią.

Rozleniecki (zaabsorbowany teorytyczną stroną sprawy). Czysta wieś?

Kolber. No — Towarzystwo jest, ale drugi numer czysty...

Rozleniecki (uprzytamia sobie sytuacyą). (Z energią): Ale ja się nie chcę żenić!!

Kolber. Ccć!

Rozleniecki (rozłoszczony chodzi po scenie). A ja wiedziałem, że ja będę miał pecha w tej Warszawie. Ja odrazu mówiłem. (wciąż chodzi — Kolber patrzy nań obojętnie, spokojnie). Czegoś ty mi nie napisał, że ty mnie sprowadzasz na jakieś głupie żenienie.

Kolber (spokojnie). Ciszej... bo tam (pokazuje na kulisy). Nie pisałem, bo ci chciałem niespodziankę zrobić.

Rozleniecki. Niespodzianka!! Ta co tobie w końcu do mojej żeniaczki?!

Kolber (poirytowany, ale panuje nad sobą). Ccicho — — grają! — — Chciałem ci pomódz przecie...

Rozleniecki (rozpoczyna znowu chodzić olbrzymimi krokami). Odrazu mówiłem, że będę miał pecha. (Staje przed Kolberem — w pasyi). Ta nie będę się żenił.

Kolber (przestał panować nad irytacyą — jeszcze głośniej od Rozl.). A nie żeń że się bestyo, ale nie krzycz! (Znowu się hamuje.)

Rozleniecki (na chwilę mityguje głos — wściekły): Nie będę się żenił. Dzisiaj zaraz siadam na kolej i do domu! I do domu!

Kolber. I będziesz gnił na swoich błotach.

Rozleniecki (w nowym ataku furyi). I będę gnił! i będę gnił! na złość tobie będę gnił, a taki się nie ożenię (poprawia czapkę, zapina tużurek, zabierając się do wyjścia).

Kolber. A miałbyś żonę jak marmuladkę.

Rozleniecki. Niech cię jasny piorun trzaśnie z twoją marmuladką! (W zamiarze wyjścia odchodzi za kotarę.)

Kolber. Ochłonie...

Rozleniecki (wraca z za kotary). Nie tędy. (zdąża do drzwi wiodących do widzów).

Kolber (chwyta go). Franek, słuchajże, jeżeli nie chcesz, no to nie: nie będziemy mówili o tem, poco się masz irytować? Pójdziesz z nami na kolacyę... zanocujesz u mnie. Zobaczysz Warszawę po dniu.

(Z garderoby wchodzi szybko Marynia — widoczne podrażnienie.)

(Ciąg dalszy nastąpi)

Stan zdrowia i warunki hygieniczne studentów Uniwers. Warszawskiego w świetle cyfr

(Autoreferat).

Pod tym tytułem ogłoszone zostały w nr. 157, 158, 159 „Zdrowia" wyniki ankiety, zarządzonej między Polakami, słuchaczami Uniwersytetu Warszawskiego. Z ogólnej liczby 705 kolegów otrzymano od 300 odpowiedzi na kwestyonaryusz, w 71 pytaniach dotykający różnych warunków bytu i zdrowia. Rezultaty i dane statystyczne wyłożono w 7 częściach pracy. Oto niektóre wyniki ogólne: urodzonych w Warszawie 64 (21·33 %), w większych miastach prowincyonalnych 28·33 %, w osadach i miasteczkach 10·34 %, we wsiach 40·00 %. Wypadkowa wzrostu studenta = 1·74 mt., — wagi = 157·23 funtów. II. rozdział poświęcony jest kwestyi stanu zdrowia. Okazało się, iż z badanych 15·67 % jest obarczonych dziedzicznością co do chorób piersiowych, 7·00 % — co do chorób serca, 11·33 % — co do chorób nerwowych, ogółem 34·00 %. Dalej 49·33 % przyznało się do skłonności do pewnych chorób i ciągłego zapadania na nie, szczególnie zaś na choroby dróg oddechowych, bo 33·00 %. Następuje wykaz chorób, jakie przechodzili badani, oraz odpowiednia tabelka. Ból oczu skonstatowano u 20·22 %; wzrok: zły w 41 %, dobry w 59 % przypadkach; używa szkieł dla poprawy wzroku 28·35 %. Na ból zębów skarżyło się 59 % badanych; zębami zdrowymi zupełnie może poszczycić się tylko 9 %. Ze szczegółowego obrachunku ilości brakujących zębów wypada, iż jednemu (z 300 badanych) brak 6·28 zęba. Choroby weneryczne przeszło 40·33 %: rzeżączką 31·33 %, szankier mięki 4·67 %, syfilis 1·66 %, rzeżączkę i szankier 2·67 %. Na ból głowy, rzadszy lub częstszy, cierpi 59·67 %. Dalej ważne i ciekawe wyniki o zdenerwowaniu. Otóż zdenerwowanych jest 57·00 %, ich ilość wzrasta z wiekiem; z tych w 20·00 % wypadkach, jako przyczyna, figuruje przepracowanie umysłowe, w 6·33 % — szkoła, stosunki gimnazyalne, wychowanie. W pierwszej więc części przedstawiono wogóle obraz zdrowia młodzieży warszawskiej, a zarazem wykazano pierwszy przyczynek do zbadania warunków, które złożyły się na wytworzenie takiego stanu rzeczy. Mowa tu o dziedziczności. Inne główniejsze momenta, mające wpływ na zdrowotność kolegów, starał się autor przedstawić w następnych rozdziałach, popierając je cyframi, wyjętemi z wyników ankiety, aby tym sposobem, o ile można, kolejno ocenić wszelkie wpływy od dzieciństwa aż do chwili badania. A więc w następnej (III) części rozpatrywano warunki ekonomiczne. Między badanymi kolegami rozróżniono trzy kategorye: 1. utrzymujących się wyłącznie ze swej pracy (przeważnie korepetycyi), 2. do-

pomagających sobie dawaniem lekcyj przy pewnej pomocy materyalnej z zewnątrz, 3. mających całkowite utrzymanie z domu. Badano warunki bytu: 1. w czasie pobytu w gimnazyum, 2. w Uniwersytecie. Otóż — okazuje się, że w gimnazyum jeszcze będąc, 19% utrzymywało się samodzielnie, 58% otrzymywało pewną (częściową) pomoc, a tylko 23% miało zapewnione całkowite utrzymanie. W Uniwersytecie samodzielnie swą pracą utrzymywało się 31·66%, miało częściową pomoc 39·67%, a nie pracujących na siebie — 28·67%. Tak smutne warunki bytu, wśród których młodzież w Królestwie musi zdobywać wiedzę, wywołują przepracowanie umysłowe, a z drugiej strony nie pozwalają na odpowiednie hygieniczne urządzenia życia. Rzeczywiście dane, zebrane w tym samym kwestyonaryuszu, wykazują, iż na dawanie lekcyj poświęcał przeciętnie jeden z badanych, w czasie pobytu w gimnazyum 2·09 godzin, w uniwersytecie — 1·85 godzin, okrągło rachując 2 godziny. Następnym czynnikom, mającym wpływ na stan zdrowia — szkole i wychowaniu — poświęcono dalsze dwa rozdziały, i na pierwszem miejscu postawiono pytanie: „jaki wpływ wywarła nauka w gimnazyum?“ Otóż: 35·67% kolegów nie konstatuje żadnego wogóle wpływu gimnazyum na stan zdrowia, 11·00% przyznaje jego wpływ dodatni, 53·33% stanowczo przemawia za ujemnym jego wpływem, wskazując w 8·00% przypadków nań, jako na sprawcę zdenerwowania. Dzięki tym cyfrom autor uważał się za zwolnionego od obowiązku dowodzenia wielkiej wadliwości i ujemnego wpływu istniejącego obecnie w Królestwie Polskiem systemu szkolnictwa, zwrócił natomiast uwagę na bezowocne tracenie energii w czasie egzaminów, które w gimnazyum i uniwersytecie są obowiązkowe co rok, i odbywają się w oznaczone dni w miesiącu maju i połowie czerwca. Dane cyfrowe otrzymano z pytania: „jaki wpływ wywierają egzamina uniwersyteckie?“ — 20·33% kolegów nie konstatuje żadnego wpływu egzaminów, 79·67% — wskazuje na ich ujemny wpływ. Dalej dzięki szczegółowemu obrachunkowi, była możność obliczenia, ile godzin czasu poświęcał przeciętnie jeden badany na naukę domową w czasie pobytu swego w gimnazyum. Otóż wypadkowa w tej kwestyi = 3·36 godziny. A ponieważ poprzednio otrzymał autor cyfrę 2·09 godziny traconych przeciętnie przez jednego badanego w tym samym czasie na dawanie lekcyi, więc dodawszy do tego 5 godzin dziennie lekcyi w murach gimnazyum, doszedł do przekonania, iż w czasie 4 ostatnich lat gimnazyalnych uczeń w Królestwie pracuje dziennie:

$$3{\cdot}36 + 2{\cdot}09 + 5 = 10{\cdot}45 \text{ godzin!}$$

Oto przyczyna, dla czego młodzież wchodzi do uniwersytetu już przepracowana umysłowo, podatna na zdenerwowanie i pozbawiona znacznej części należnej jej energii. To samo pytanie: o ilości czasu poświęcanego

pracy, było zadane i w stosunku do obecnej pracy, tj. uniwersyteckiej. Okazuje się, iż wykładów przecięciowo słucha jeden student 3 godziny dziennie, wraz z zajęciami w laboratoryach i prosektoryach, razem na wykłady i na studya domowe poświęca — jak wypadło z dosyć zawiłego obrachunku — 6·03 godzin, ogółem więc student w Warszawie pracuje umysłowo 6·05 godzin dziennie. Na podstawie powyżej otrzymanych rezultatów skonstatować należy przeciążenie pracą umysłową wskutek warunków bytu i wadliwej organizacyi szkolnictwa, jako jedną z najważniejszych przyczyn smutnego stanu zdrowia młodzieży naszej. Oczywiście, większą jest tu winą nieodpowiednie wychowanie domowe, a raczej brak wychowania fizycznego, niż system szkolny, na które społeczeństwo w drodze prawodawczej wpływu nie ma. Oto parę ważniejszych cyfr uzasadniających to twierdzenie, a umieszczonych w V rozdziale pracy, n. p. sporty i przyjemności. Palących papierosy 56·67 % na jednego wypada dziennie 17 papierosów. Używających rzadziej lub częściej alkoholu 77·33 %, uczęszczających do knajp 65·00 %. Przytoczywszy zdanie prof. Kaepelina, oraz dra Smitha o wpływie alkoholu na układ nerwowy, autor z kwestyą „knajpowania" złączył kwestyę nadużyć płciowych. Z pomiędzy badanych kolegów 80·67 % utrzymuje stale stosunki płciowe, 4 % zarzuciło takowe, nie używało kobiet tylko 15·33 %; większość, to 22·34 % zaczęła utrzymywać stosunki już w 18 roku życia. Porównywując w tej mierze kolegów swoich z młodzieżą w Anglii (w Cambridge), gdzie tylko 0·5 % nie mogła się poszczycić całkowitą świeżością młodzieńczą, autor wskazuje słowami Bjönstjerne-Björnsona, Payota na zgubny wpływ niewstrzemięźliwości w wieku młodzieńczym na fizyczną i moralną stronę człowieka. Przyczyną tego jest, po pierwsze, głęboko zakorzenione w społeczeństwie naszem rozpasanie płciowe, powtóre, brak odpowiedniego wychowania fizycznego. Pomijając szkołę, która u nas wcale nie dba o wychowanie fizyczne i rozwój ciała, możemy skonstatować brak zamiłowania do sportów i wychowania fizycznego w domu. Gimnastyką np. zajmuje się tylko 27·67 %! Teraz dopiero dadzą się zsumować rezultaty nieumiejętnego wychowania i szkodliwego systemu szkolnictwa. W tym samym rozdziale przytoczono cyfry, na podstawie których dowiadujemy się, że kąpieli używają studenci bardzo rzadko, bo 40·01 % raz tylko na miesiąc, 38·49 % — częściej, 21·50 % — rzadziej. Niedziele i wakacye nie dają też całkowitego odpoczynku, gdyż odpoczywa tylko 52·57 %. W dalszym ciągu przystąpiono do rozpatrzenia obecnych warunków bytu, t. j. mieszkania, pożywienia, ubrania oraz trybu życia. Pożywienie nie było badane chemicznie, to też dane otrzymano tylko ogólne, na podstawie których uznać można odżywianie się młodzieży uniwersyteckiej za dostateczne ilościowo, lecz nie jakościowo. Np. obliczono, że jeden student zjada przypuszczalnie dziennie $^3/_4$ funta chleba lub 6 bułek.

Obiady podzielono na cztery kategorye: 1. obiady z dwóch dań 18·67 %, 2. z dwóch dań i deseru 4·67 %, 3. z trzech dań 56·66 %, 4. z-trzech dań i deseru 20.00 %. Co do trybu życia, skonstatowano fakt, iż jest ono na ogół niesystematyczne, oraz podano cyfry, z pomocą których można odtworzyć sobie sposób przepędzania dnia przez studenta: między innemi jest i pytanie, o której godzinie chodzi każdy spać? Wynika stąd, iż przeważnie chodzą spać około północy 41·67 %, 24 % przed północą, 34·33 % po północy.

Następuje rozdział ostatni, oparty na odpowiedziach na ostatnie pytanie: „co ma do nadmienienia w kwestyi hygieny życia studenckiego". Rozróżniono wśród nich dwie kategorye: jedna wykazująca ujemne strony życia domowego, prywatnego, druga utyskująca na wiele wadliwych stron naszych urządzeń uniwersyteckich. Te ostatnie głosy są najzupełniej uzasadnione i dla tego autor zadowolnił się pobieżnem tylko rozpatrzeniem urządzeń uniwersyteckich. Na pierwszem miejscu stoi szpital, w którym mieszczą się trzy ważne kliniki. Szpital ten (Dzieciątka Jezus) zyskał zasłużoną sławę, teraz na szczęście będzie już skasowany. Prosektoryum urządzone jest zupełnie bez ulepszeń i zachowania pewnych chociaż środków ostrożności lub czystości. Audytorya mieszczą się w starym Pałacu Kazimierzowskim, nie posiadają wcale wentylacyi i są za ciasne, gdyż w jednem z nich na 1 słuchacza wypada tylko 1·39 mt.^{3} powietrza. Laboratorya urządzone fatalnie, szczególniej laboratoryum chemii analitycznej dla medyków. Ławki na ogół ciasne i niewygodne, a rok akademicki ma mniej więcej tylko 110 dni wykładowych.

Krótkiem wezwaniem do kolegów zakończono pracę, której motto były słowa J. Śniadeckiego: „Ten tylko doskonałym nazwać się może, kto w czerstwem i kształtnem ciele czyste nosi serce i niepokalaną ma duszę, kto ma zdolności społeczeństwu, w którem żyje, przydatne".

Z. J. KOWALSKI
student wydziału lekarskiego.

PRZEDMIOT DYNAMIKI SPOŁECZNEJ.

(Ciąg dalszy).

Po religii największym łącznikiem bywa podobieństwo języka. Kto miał kiedykolwiek do czynienia z ludźmi, na niższych szczeblach umysłowości pozostającymi, ten wie, jaka nieufność objawia się w oczach i ruchach człowieka, niemogącego zrozumieć jego mowy. Nawet u ludów cywilizowanych odrębność mowy wzbudza nieufność i podejrzliwość. Morgan też określa plemię, jako związek rodów, mówiących jednem narzeczem.

Wpływ przyrody otaczającej albo wstrzymywał, albo też przyśpieszał rozwój form rodowych. Przebywające w górzystym kraju rody, mając utrudnioną pomiędzy sobą komunikacyę, wyodrębniały się mową i tworzyły małe, zamknięte w sobie społeczeństwa. Taki obraz przedstawiają Kareni w zachodniej części Indo-Chin. Obszary stepowe dawały możność plemieniu rozrastać się w liczne podobne do siebie plemiona, mówiące tym samym językiem, a przynajmniej z zachowaniem wielkiego podobieństwa w swych narzeczach. Ta okoliczność, ułatwiająca wspólne porozumienie się i łączenie, ułatwiała najazdy i podboje ze stepów azyatyckich. Znowu na rozległej przestrzeni wodnej Wielkiego Oceanu rozrzucone daleko od siebie archipelagi z drobnemi wysepkami sprzyjały krzyżowaniu się rasowemu i językowemu i przenoszeniu i łączeniu rozmaitych kształtów ustrojowości społecznej.

Sposób życia i zdobywania życia i zdobywania żywności jest także bardzo ważnym warunkiem wpływowym w rozwoju życia rodowego. Byt koczowniczy mniej sprzyjał mieszaniu się rodowemu, aniżeli osiadły, i z tego powodu rozwój był powolniejszy i bardziej jednostajny. Myśliwstwo, połączone z życiem leśnem, warunkowało istnienie drobnych grup społecznych; natomiast łowiectwo nad brzegami jezior lub mórz ułatwiało współżycie większych i rozmaitszych społeczeństw. Rolnictwo, skłaniające do życia osiadłego, nadawało w rozwoju społecznym coraz większe znaczenie czynnikowi terytoryalnemu.

Gumplowicz jako podstawę swego socyologicznego poglądu wygłasza to zdanie, że rozwój życia społecznego rozpoczyna się dopiero od spotkania się, zderzenia — że tak powiedzieć — obcoplemiennych hord, wogóle grup społecznych obcego, odmiennego pochodzenia. Jest to mylne, ponieważ życie społeczne — jak widzieliśmy — było wcześniejsze od istnienia człowieka i ten przyniósł je z sobą już w dziedzictwie, Wszelako nie ulega żadnej wątpliwości, że spotkanie się obcoplemiennych hord musiało być bardzo ważnym bodźcem w rozwoju tego życia. Wówczas bowiem pojawiają się dwa fakty społeczne: wojna i handel, które potężnie przyczyniały się do łączenia, mieszania i krzyżowania się rasowego i skutkiem tego do wytwarzania rozmaitych i coraz bardziej skomplikowanych form ustrojowych.

Ludzie od samego początku swego istnienia musieli staczać boje ze zwierzętami, a w pewnych wypadkach prawdopodobnie i sami z sobą. Lecz wojna, w znaczeniu walki zbiorowej jakiej grupy społecznej z drugą, każe przypuszczać z jednej strony znaczne już rozszerzenie się ludzkości, z drugiej zaś strony większą spoistość orga-

niczną w samych grupach społecznych. Zmusza ona do ściślejszej organizacyi, któraby dawała mu możność więcej zgodnego, a więc bardziej skutecznego działania, i z tego powodu niewątpliwie była nader potężnym bodźcem w rozwoju ustrojowości społecznej. Była ona głównym powodem do łączenia się plemion w jedność narodową i przyczyniała się do spotęgowania przeciwieństw pomiędzy walczącemi stronami, a więc do wytworzenia osobowości, czyli indywidualności narodowej.

Handel, nawiązujący stosunki pomiędzy oddzielnemi ludami i przyczyniający się nietylko do wymiany rzeczowej, ale także i umysłowej, musiał być jeszcze późniejszego od wojny pochodzenia. Wymaga on już wyższej kultury, w której istnieje pewne zróżniczkowanie zajęć, i która daje niejakie środki do obrony własnego bezpieczeństwa tym, co zbliżają się do obcego sobie ludu w celach sprzedaży lub kupna. Dzikie ludy, pozostające na niskich szczeblach uspołecznienia, nie znają handlu. Uczynił to spostrzeżenie już znakomity odkrywca wysp oceanijskich, Cook, mówiąc o Australczykach.

Potrzeba obrony od napaści obcych plemion skłaniała pokrewne sobie do połączenia się wzajemnego; wszelako mogło się ono odbywać albo w drodze ugody, albo w drodze przymusu, albo wreszcie przy wspólnem działaniu obu tych czynników. Należy się przypuszczać, że ugoda jako więcej zgodna z podstawami bytu rodowego, przeważała w kształtowaniu się organizmów narodowych, zwlaszcza dopóki nie skomplikowały tego procesu poźniejsze terytoryalno-państwowe stosunki. Można przytoczyć sporo faktów na poparcie tego przypuszczenia. Federacya plemion irokiezkich w północnej Ameryce, przedstawiająca — zdaniem Morgana — „znakomity wynik rozumu i roztropności“, i federacyjna organizacya narodu arazkańskiego w południowej Ameryce, opisana przez Molinę, dają bardzo ważną wskazówkę w tym względzie. Wogóle, organizacya rodowo-polityczna, która łączy pokrewne plemiona w jedną całość, taka zwłaszcza uwydatniona organizacya, jaką widzimy u ludów stepowych azyatyckich, u Berberów, u Kabylów, przedstawia niejako ten szczebel, od którego rozpoczyna się rozwój narodowy. U progu dziejowego większej części narodów widzimy gminowładztwo, które bądźcobądź świadczy o przewadze ugody w ustroju politycznym i dopiero z budowaniem państwa — rzec można — uwydatnia się działanie przymusu. Etnologia wysp oceanickich zdaje się także to potwierdzać. O ile wyrozumieć można z tamecznych poplątanych stosunków społecznych, które nadto niedostatecznie są znane i często mylnie objaśniane, to gminowładztwo istnieje tam, gdzie pokrewne plemiona z sąsiednich wysp same połączyły się z sobą w jeden związek, a przeciwnie monarchizm i stosunki feudalne panują tam, gdzie jakiś odłam obcego plemienia z wysp odległych przemocą zgarnął pewną liczbę plemion w jednę całość polityczną.

Bolesław Limanowski.



Z ŻYCIA AKADEMICKIEGO.

W sprawie rozruchów warszawskich.

Wypadki, które ostatniemi czasy wstrząsnęły wyższemi zakładami naukowemi całej Rosyi a także w Warszawie znalazły oddźwięk, oddziałały silnie na umysły młodzieży uniwersyteckiej we Lwowie. Brutalne zachowanie się rządu rosyjskiego wobec tego wolnościowego ruchu wśród młodzieży, a specyalnie tendencyjnie odmienne stanowisko, jakie rząd zajął w tej sprawie wobec młodzieży polskiej w Warszawie, oburzyło do żywego lepszą część młodzieży lwowskiej.

Celem niesienia pierwszej pomocy ofiarom despotyzmu carskiego, »Ognisko«, stowarzyszenie polskiej młodzieży w Gracu, wydało odezwę, wzywającą do zbierania składek dla wydalonych kolegów w Warszawie. Odezwa ta przyjęta przychylnie przez ogół akademicki we Lwowie, spowodowała utworzenie się komitetu, w skład którego weszli przedstawiciele wszystkich towarzystw akademickich we Lwowie. Ponieważ jednak na równi z postępowaniem rządu rosyjskiego z kolegami w Warszawie, musiało wywołać oburzenie w sercu każdego Polaka, zachowanie się w tej sprawie większości prasy polskiej, a zwłaszcza ukazanie się odezwy stronnictwa narodowo-demokratycznego, porównywającej kolegów w Warszawie z Targowicą i ugodowcami — a odezwa »Ogniska« wcale przeciw temu nie zaprotestowała, dlatego przewodniczący »Zjednoczenia« lwowskiego nie umieścił swego nazwiska w odezwie, wydanej przez lwowski komitet składkowy. Nie mniej jednak lista rzeczonego komitetu znajduje się w towarzystwie.

Równocześnie wydział »Zjednoczenia« lwowskiego, celem zaznaczenia swego stanowiska wobec całego ruchu, ogłosił następującą odezwę:

»Koledzy! Zjednoczenie — stowarzyszenie kształcącej się młodzieży we Lwowie, na posiedzeniu Wydziału z dnia 21 marca 1899 r. postanowiło oświadczyć Wam koledzy swoją sympatyę i zadowolenie z powodu ostatniego ruchu Waszego. My nie chcemy oceniać Waszej taktyki — nawet stopnia wytrzymałości Waszej — my dziękujemy Wam za ten wyraz energii Waszej, za niegasnącą zdolność składania na ołtarzu dobra publicznego coraz nowych ofiar, za ten niewątpliwy dowód rewolucyjności Waszej, za solidarność, jako za warunek powodzenia wszelkiej działalności, a głównie za protest przeciwko despotyzmowi i wszelkim jego objawom, do czego ruch Wasz w jego zasadzie redukuje się.

»Zarzut ugodowości wymierzony przeciw Wam, uważamy za taki, z którym rachować się nie macie potrzeby, bo bronią Was chociażby kary, które spadły na Was.

»Do czynienia podobnych zarzutów naj-

mniej prawa mają ci, co tak niedawno i tak bezczelnie paktowali z rządem moskiewskim.«

Zainicyowanie zbierania składek dla kolegów wydalonych z uniwersytetu warszawskiego, miało mieć na celu niesienie im tylko materyalnej pomocy. Nie pomyślano jednak o tem, że w nieszczęściu jakie ich spotkało, daleko większą wagę będzie miało dla nich uznanie i poparcie moralne ich poświęcenia.

Dlatego też staraniem członków »Zjednoczenia« lwowskiego przyszło do skutku w dniu 26 marca 1899 r. poufne zebranie członków wszystkich towarzystw akademickich we Lwowie, w lokalu towarzystwa, na którem wniesiono i uchwalono następujące rezolucye:

»Nie wdając się w krytykę samej taktyki kolegów-Polaków wyższych zakładów naukowych w Rosyi i zaboru rosyjskiego

1) wyraża się swoje uznanie z powodu żywotności i rewolucyjności okazanej w ostatnim ruchu.

2) protestuje przeciw czynionym kolegom-Polakom w Warszawie zarzutom, które wyraz swój znalazły w części prasy, jak również w odezwie stronnictwa narodowo-demokratycznego«.

Przy nader szczupłym udziale kolegów innych towarzystw, rezolucye powyższe przyjęto — pierwszą wszystkiemi głosami przeciw 2 — drugą wszystkiemi głosami przeciw 1.

Obojętność, z jaką zachowały się towarzystwa akademickie lwowskie wobec zebrania, mającego wydać sąd w tak ważnej sprawie, tudzież treść przemówień, jakie na niem wypowiedziano, dowiodły, że ogół akademików lwowskich nie zdaje sobie sprawy z dążności, działań i celów naszych braci za kordonem i nad kwestyami, które obchodzić powinne całość młodzieży polskiej, z karygodną apatyą przechodzi do porządku dziennego. St. Od.

Odezwa.

Zjednoczenie tow. młodzieży polskiej za granicą, wydało następującą odezwę: »Do Studentów Uniwersytetu Warszawskiego.

Koledzy! Zdala od rodzinnej ziemi, słyszeliśmy odgłosy walki Waszej, pod sztandarem swobody podniesionej. Uszu naszych dobiegly tylko echa tej walki, której nie zdołały stłumić ani gadzinowe podszepty ugodowców, ani brutalna przemoc najezdniczego rządu, ani nikczemna zdrada w Waszych własnych szeregach. Dumą wzbierały nasze serca, gdy powstawaliście do nierównego boju, oburzeniem pałaliśmy widząc bezprzykładne gwałty władz Waszych.

Nie przystoi nam niecnym świadkom walecznej Waszej obrony do wytrwania Was zagrzać, lub otuchą Was pokrzepiać. Wierzymy święcie, że gwałty na Was dokonane nie stłumią w Was zarzewia protestu, lecz raczej szeroko rozniecą jego płomienie. Nie słowa zachęty niesiemy Wam, koledzy, — bo tych nie potrzebujecie, ale gorące wyrazy najwyższego uznania dla Waszej sprawy — dla wrogów Waszych oburzenie i pogardę. Bohaterska walka Wasza przeciąga ku sztandarowi, który w kiepskich swych dłoniach trzymacie, wszystko, co jest w młodzieży naszej zdrowem i silnem i szczytnem, a mianem zdrajców napiętnuje tych, co dziś bezkarnie z wrogami kraju wchodzą w przymierze.

Zjednoczenie T-stw Młodzieży Polskiej za granicą. Zurych w Marcu 1899.

Sprostowanie.

W zeszycie 4-m »Młodości« w artykule »O pewnym stałym kierunku zmian językowych« należy poprawić następujące omyłki druku:

Str. 97 w. 17 od g. zam. »przesuwania wymawiania« czyt.: przesuwanie wymawiania.

Str. 98 w. 16 od d. zam. »fonacyi antropologicznej« czyt.: formacyi antropologicznej.

Redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Meus.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

I ROK ZESZYT V

MŁODOŚĆ

Czasopismo illustrowan

CZERWIEC-LIPIEC 18

KRAKÓW-LW

W SKŁAD REDAKCYI WCHODZĄ:
ADAM SIEDLECKI, STANISŁAW UNGER, A. S. PROCAJŁOWICZ (KIEROWNIK ARTYSTYCZNY) ORAZ LEON POPŁAWSKI (LWÓW).

TREŚĆ:

STRON 40.

MŁODOŚĆ

REDAKCYA, KRAKÓW ul. Retoryka 1, drugie piętro. Otwarta codziennie oprócz niedzieli i świąt od 3—4$^1/_2$ pop.

PRENUMERATA kwartalnie: w Krakowie i na prowincyi 85 ct., za granicą 1 mk. 50 pf., 2 fr., 80 kop.